

HISTORIA ANTROPOLOGII

TADEUSZ DZIERŻYKRAY-ROGALSKI

WSPOMNIENIE O POLSKIM BADACZU AFRYKI
STEFANIE SZOLCU-ROGOZIŃSKIM
(W DZIEWIĘCDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ JEGO WYPRAWY
KAMERUŃSKIEJ)

W kwietniu 1973 r. minęło dziewięćdziesiąt lat od wylądowania w Kamerunie Pierwszej Polskiej Wyprawy, zorganizowanej i kierowanej przez Stefana Szolca-Rogozińskiego.



Wyprawa ta miała za cel zbadanie wybrzeży Kamerunu, założenie tam stacji geograficzno-meteorologicznej, a następnie dotarcie do źródeł jezior Liba oraz zgromadzenie materiałów antropologicznych i etnograficznych, dotyczących tego obszaru. Cele wyprawy zostały osiągnięte i zrealizowane.

Tak brzmiałaby sucha informacja, rejestrująca osiągnięcia młodego Polaka, oficera marynarki rosyjskiej, rodem z Kalisza, który na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, uwiedziony urokiem ostatnich „białych plam” na mapie Afryki (a może książkami Juliusza Verne?), bez żadnych właściwie podstaw i kwalifikacji podjął zadanie przekraczające nie tylko jego możliwości, ale i siły.

Indywidualność ta nieprzeciętna, niedoceniana przez współczesnych, stosunkowo niedawno została wyciągnięta z mroków zapomnienia*.

Stefan Szolc-Rogoziński „gdy zamknęły się za nim szkolne wrota, wbrew woli ojca wstąpił jako ochotnik do marynarki rosyjskiej — po to

* Por. H. Szumańska-Grossowa: *Podróże Stefana Szolca-Rogozińskiego*, Warszawa 1967, ss. 368.

jak sam pisze — aby wyuczyć się umiejętności niezbędnych dla podróżnika”.

W 1881 r. dwudziestoletni zaledwie oficer marynarki ma już całkiem skryształizowane plany życiowe: „przykuły mnie do siebie tajemnicze głębie lądu afrykańskiego i czy powrócę czy też pozostać mi tam przyjdzie, imię moje jako gorliwego pioniera ściśle z nim zapewne będzie związane”.

Jakże młodzieńczo brzmią te słowa! Ilu chłopców jeszcze dziś, po przeczytaniu książki, obejrzeniu kolorowego filmu podejmuje podobne postanowienia?

Ale Rogoziński nie poprzestaje na marzeniach. Nie pomagają ostrzeżenia bliskich, perswazuje solidnej, kupieckiej rodziny, gdzie rzadko trwoni się na fantazje majątek zdobyty długim trudem. Rogoziński nie ma w sobie nic z kupca, (a trochę kupieckiego wyrachowania przydałoby mu się w czasie jego podróży i przygód). Stara się więc zdobyć jakąś „pozycję” naukową. W owym czasie nie tylko dyplomy uniwersyteckie otwierały wrota przybytku nauki, a raczej nikt o te dyplomy nie pytał, gdyż nie istniały jeszcze — jak dziś — patenty na praktyczne uprawianie wiedzy.

Rogoziński działa konsekwentnie. W czasie przerwy w rejsie, związanej z naprawą okrętu na którym odbywa służbę, udaje się do Paryża, skąd wraca jako członek Paryskiego Towarzystwa Geograficznego. W „Wędrowcu”, popularnym piśmie salonowym, w dniu 23 IV 1881 r. ukazuje się artykuł pióra Rogozińskiego o tym właśnie Towarzystwie — „instytucji, która obrała jako swe zadanie rozszerzyć horyzont wiedzy, odsłonić nie zbadane przestrzenie dla wszystkich mieszkańców kuli ziemskiej, pousuwać zasłony i więzy przesądu, powołać wszystkie narody pod berło cywilizacji i spokojnego życia społecznego”.

Później „Wędrowiec” staje się jakby organem Rogozińskiego, a jego naczelny redaktor Feliks Sulimirski — gorącym protektorem wyprawy. Znajdą się także bardziej możni i wpływowi mecenasi, popierający młodego zapaleńca. Gdy rozpoczyna się kampania mająca na celu zdobycie niebagatelnej sumy 10 tys. rubli rosyjskich, potrzebnej do zakończenia przygotowań do tej imprezy — na łamach prasy wypowiadają się, popierając go: Bolesław Prus i Henryk Sienkiewicz. Należy stwierdzić, że Rogoziński od początku zdecydowanie realizuje swe cele. Udaje mu się wciągając do współpracy znanych podróżników włoskich — Bianchego i Licatę, proponując im buńczucznie udział w „swojej” wyprawie. Na pokrycie jej ogromnych kosztów wyciąga od rodziny należny mu po matce spadek w wysokości przeszło 18 tys. rubli. Jest to suma bardzo duża, za którą można było w owym czasie zakupić mająteczek ziemski i gospodarzyć na nim dostatnio do końca życia. Jednak Rogoziński nie kalkuluje. Nie w głowie mu spokojny żywot „hreczkosieja”, chce być badaczem Afryki. Chce zorganizować polską wyprawę do Kamerunu. Ten naukowy

cel jest dla niego sprawą zasadniczą i gdy Bianchi i Licata okazują się agentami handlowymi wielkiej spółki włoskiej, chcącymi ubić na wyprawie interes — rozstaje się z nimi bez wahania, choć to zarywa zupełnie budżet wyprawy. Jego cele są „czyste”, dlatego dobiera ludzi starannie, choć nie zawsze wybór ten okazuje się trafny.

„Wędrowiec” i inne pisma robią reklamę „sprawie”, choć nie brak i głosów zdecydowanie przeciwnych, operujących argumentami słusznymi, druzgocąco logicznymi: „Inne większe i bogatsze narody mogą urządzić wyprawy geograficzne”, „nas na to nie stać”, „my jesteśmy za biedni”. Te i podobne słowa ukazują się na łamach „Prawdy”, a podpisuje się pod nimi nie byle kto — Aleksander Świętochowski. Świętochowski i później będzie zabierał głos, próbując nawet wyśmiewać i dyskwalifikować młodego badacza, szczególnie wtedy, gdy zaczynają się pierwsze poważne trudności i niepowodzenia. Ale taka opozycja nie jest przecież rzeczą wyjątkową w tego rodzaju przedsięwzięciach. Nie jest wyjątkowa i wcale nie związana z tamtą epoką.

W końcu jednak Rogoziński pokonuje wszystkie przeciwności, a piętrzy się ich tyle, że zdaje się już, iż zakupiony jego sumptem statek żaglowy „Łucja-Małgorzata” nie opuści Hawru, skąd ma się odbyć start. Zmieniają się też kilkakrotnie towarzysze podróży, (na samym końcu zostanie ich tylko dwóch: Klemens Tomczek i Leopold Janikowski).

Przy pomocy ofiarnych i przecież skłonnych do romantycznych porywów rodaków, zostają opłacone wcale niemałe rachunki i zobowiązania. Bo też trzeba było się zaopatrzyć na taką podróż!

Rogoziński wreszcie wypływa. Ani cel podróży nie jest bliski, ani „Łucja-Małgorzata” nie jest najlepszym statkiem dla tak trudnej wyprawy. Jednak nasz bohater jest już wytrawnym marynarzem a przede wszystkim nieugiętym człowiekiem. Po 125 dniach przygód, 16 kwietnia 1883 r. „Łucja-Małgorzata” zarzuca kotwicę na wyspie Fernando-Poo, u wrót Kamerunu.

Wtedy właśnie wycofuje się dwóch uczestników wyprawy: Hirszenfeld i Ostaszewski. Mają dość tej niebezpiecznej „zabawy” i dość... Rogozińskiego. Żądają przy tym zwrotu swych udziałów. Ale to nie wycieczka krajoznawcza. Zaczyna się ciąg dalszy poważnych kłopotów finansowych. Rogoziński zmuszony jest sprzedać swój statek, który zaraz po tej transakcji rozbija się na skałach niegościnnego wybrzeża kameruńskiego, a jego nabywcy nie chcą wypłacić znacznej części pozostałej do uregulowania należności. To wszystko nie załamuje naszego dzielnego rodaka. Rusza w głąb tajemniczego kraju. Tu zaczynają się jego bajeczne wprost przygody. Okazuje się on znakomitym organizatorem, nieustraszonym i niestrudzonym badaczem, który kilka razy uchodzi śmierci, może przez jej całkowite lekceważenie?

Trudno w krótkim wspomnieniu o tym znakomitym badaczu, wymienić wszystkie jego osiągnięcia, są one — jak na owe czasy — ogromne.

W Instytucie Geograficznym Justusa Pethersa, w znanych „Pettermans Geographische Mitteilungen” ukazuje się mapa części Kamerunu zbadanej po raz pierwszy przez Rogozińskiego. Przesyła, a potem przywozi on do Polski bogate zbiory etnograficzne i antropologiczne. Te ostatnie dostają się Zakładowi Antropologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierowanemu wówczas przez Izydora Kopernickiego. Wydaje wreszcie książkę o wyprawie.

Najbardziej malownicze są jego przygody jako kacyka Boty. — Rogoziński chcąc zrobić na złość Niemcom, zdobywającym w owym czasie kolonie dla króla pruskiego, odstępuje rządzony przez siebie kraj... Królowej Wiktorii. Zawiera nawet traktat z konsulem Jej Królewskiej Wielko-Brytyjskiej Mości, traktat — znajdujący się do dziś w angielskiej błękitnej księdze — Africa nr 1 - 1885, niestety, potem zlekceważony przez Anglików.

Przygody Rogozińskiego obfitują też w chwile grozy. Na żółtą febrę umiera jego najbliższy towarzysz i przyjaciel Klemens Tomczek. On sam jest wielokrotnie o krok od śmierci, ale gdy się czyta o jego licznych wypadach z Kamerunu do Europy i z powrotem, to zapomina się jak uciążliwa, długa i niebezpieczna była ta podróż w tamtych czasach.

Rogoziński żeni się — niezbyt szczęśliwie — ze znaną pisarką Hajotą (Heleną Janiną Boguską), którą ściąga do założonej przez siebie plantacji na wyspie Fernando-Poo. Jego kontakty z ludźmi nie układają się nigdy zbyt harmonijnie. Może był on indywidualnością wyrastającą ponad obowiązujące w tym czasie normy i obyczaje? Może jego wysokie wymagania wobec siebie i innych właśnie tych innych zniechęcały?

Warto wspomnieć o zasługach Rogozińskiego dla antropologii. Wiadomo że z Kamerunu słał skrzynie eksponatów do Zakładu w Uniwersytecie Jagiellońskim. Również osobiście przywiózł bardzo wiele materiałów ofiarowanych później prof. Kopernickiemu. Czy coś z tego pozostało? Czy obie wojny światowe, które tak doszczętnie niszczyły polski dorobek naukowy i polskie dobra kulturalne pozwoliły ocalić jakąś część tych skarbów? — Warto by się tym zainteresować.